TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STR., CHICAGO ILL.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI·
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie.. $1.00.
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........ $1.50.
PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JE[illegible]IE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the [illegible] at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 10. Chicago, Ill., Czwartek, 10-go Marca, 1898. Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Jastrząb nieustraszenie wejrzał na Jana.

— Byłem ja młody, wielki carze prawosławny — nuciłem piosnkę: "Nie smuć matki". W tej to piosnce pyta się car młodego zucha, kto są twoi towarzysze, a zuch odpowiada: towarzyszy mam czterech: pierwszy — nocka ciemna, drugi...

— Dosyć — przerwał mu Maluta — zobaczymy jak to ty będziesz śpiewał, gdy cię będziemy na kozła podnosili! Ale co u djabła! ja gdzieś widziałem ten kudłaty łeb!

Jastrząb się skłonił Malucie w pas i odparł z uśmiechem:

— Widzieliśmy się, batiuszka Maluta Skurłatycz, może sobie przypomnieć raczysz, w Djablej Kałuży.

— Chomiaku! — zwrócił się Maluta do swego strzemiennego — weź tego starego i pogadaj z nim, niech ci powie po co przychodził do jego carskiej miłości; ja zaraz sam do zaścianka przyjdę.

Przez ten czas Pierścień, korzystając z ogólnego zamieszania, już się był wydostał przez sztachety sadu na plac więzienny. Tam było pusto, naród się skupił u pożaru.

Przechodząc ostrożnie koło więziennego muru, Pierścień się potknął o coś miękkiego i nachyliwszy się namacał ludzkiego trupa.

W tej chwili podszedł ku niemu rudy pieśniarz, ten sam, który go zatrzymał rano, i szepnął:

— Atamanie, on stał na straży, jam go sprzątnął; dawaj klucze, otworzymy więzienie i żegnaj, idę z chłopcami grabić przy pożarze. A gdzie Jastrząb?

— Wszystko stracone — odpowiedział smutnie Pierścień — stary złapany, zbieraj chłopców i nura! Cicho — a to kto?

— A ja — odezwał się Mitka.

— A wynośże się durniu, nogi za pas! Wszyscy drapaka ze Słobody! Czekać u krzywego dębu!

— Co tam kniaź? — spytał Mitka gapowato.

— Capie, słyszysz, wszystko przepadło! Dziadzia złapali, kluczy nie ma.

— To nic, więzienie otwarte.

Pierścień nie wierzył.

— Jakto? któż otworzył?

— A ja! —

Pierścień wszedł do lochów — polazł za nim i Mitka.

Spotkali jeszcze dwoje drugich drzwi, lecz te, że były słabsze, niedługo się Mitce opierały.

— Książę — rzekł Pierścień — wstawaj.

Srebrnemu się zdało, że przyszli poń kaci.

— Czy to już rano? — spytał — nie ma Maluta cierpliwości do rana czekać?

— Ja nie jestem Malutą — odparł Pierścień — jestem tym, którego od śmierci wyratowałeś. Wstawaj, kniaziu; czas drogi; ja cię wyprowadzę.

— Coś ty za jeden? Nie znam twego głosu.

— To mi kniaziu nie wierzysz? — mówił dalej ataman. — Przypomnij no sobie Miedwiediewkę, albo Djablą Kałużę; przed tobą stoi Waniucha Pierścień.

Rozradowało się serce Srebrnego na myśl o wolności. Stanęły mu w jednej chwili przed oczyma lasy, pola, nowe i sławne bitwy, i ów jasny jak słońce obraz Heleny. Już wskoczył na równe nogi, już gotów był podążyć za Pierścieniem, gdy nagle przypomniał sobie przysięgę daną carowi, i krwią mu się serce zalało.

— Nie mogę — rzekł — nie mogę iść z tobą, przyrzekłem carowi wszędzie czekać na jego sąd.

— Bojarze, kpisz sobie ze mnie? dla ciebie podpaliłem Słobodę, dla ciebie straciłem najlepszego towarzysza, dla ciebie być może, wszyscy głowy tu zostawiemy, a ty się upierasz! Nadaremnośmy tu przyszli?! Mów po raz ostatni, idziesz? nie?

Nie — odrzekł stanowczo Nikita Romanowicz.

— Nie — przecedził zaciśniętemi zęby Pierścień — nie. — Nie będzie, jak chcesz! Mitka, bierz bojarzyna przemocą.

W jednej chwili ataman zakneblował usta Srebrnemu wełnianym pasem. Teraz nie będziesz się opierał — dodał złośliwie. Poczem Mitka wziął kniazia pod pachę, i wyniósł z więzienia niby małe dziecko.

— Żywo! żywo! — nalegał Pierścień. Na jednej ulicy spotkali opryczników; ci ich zatrzymali pytaniem:

— Kogo niesiecie?

— Belka go biedaka zatłukła przy pożarze — odparł ataman — niesiemy do kaplicy.

W ten to sposób uprowadzili rozbójnicy kniazia ze Słobody.

XXII.

Klasztor.

Zostawiliśmy Maksyma w burzliwą noc po wyjeździe ze Słobody. Kosmaty Bujan, kontent, że mu się udało zerwać z łańcucha, wył radośnie, skacząc do nóg swemu panu.

Maksym, porzucając dom rodzicielski, sam nie wiedział, w którą się udać stronę; wyrwać się chciał tylko z rąk carskich ulubieńców, by nie być więcej świadkiem niewinnej krwi przelewu. Syn Maluty oddał się Boskiej opiece. Z początku gnał konia, bojąc się, żeby go nie dopędzili ojcowscy słudzy, którzy mogli się byli puścić za nim w pogoń, lecz wkrótce skręcił w boczną dróżynę i jechał krokiem.

Nad ranem burza ucichła.

Na wschodzie ciemne tło nieba się rozjaśniło, i Maksym mógł rozróżnić otaczające go przedmioty. Po jednej i drugiej stronie

drogi rosły wspaniałe dęby, przeplatane krzami leszczyny. Powietrze było czyste. Krople deszczu leniwie spadały z drzew o liście się odbijając. Zaraz też i drobne ptaszyny zatrzepotały w gęstwinie, i jęły nucić ranną piosenkę. Tu i owdzie stuknął dzięcioł po suchym drzewie. Wschodzące słońce ozłociło wierzchołki dębów. Wszystko ożyło na nowo, a i koń stąpał raźniej. Rozpostarła się przed Maksymem rodzona Ruś; wesoło mógłby oddychać na wolnem powietrzu, ale smutek padł mu na serce. Dumał o porzuconej matce, o swym losie, i jeszcze o czemś, z czego sobie sprawy sam zdać nie mógł — i w tej zadumie zanucił piosnkę.

Piękne i smutne są ruskie pieśni! Nie słowem, lecz dźwiękiem wypowiadasz w niej swoje uczucia.

Tak poglądając na zieloność, na niebo, na świat boży, Maksym żalił się na swą dolę, zachwycał złotą wolnością, rozkazywał koniowi pędzić daleko... daleko... aż hen! w odległe strony.... polecał wiatru pozdrowić swą matkę....

Poczynał dumę od pierwszego przedmiotu, jaki mu wpadł w oko, i wypowiadał wszystko, co miał na sercu. Wiele... wiele wyrażał słowy, ale gdybyś słyszał oną pieśń, utkwiłabyć na zawsze w duszy, i sambyś ją nucił w chwilach tęsknoty...

A gdy smutek coraz większy go opanowywał, ściągnął lejce, czapki poprawił, gwizdnął, krzyknął i sunął co koń wyskoczy.

I pędził Maksym dość długo, aż zabieliły się przed nim mury klasztorne. Budynek stał na górze porośniętej dębami. Złote kopuły i ozdobne krzyże przeglądały się w zieloności drzew i w niebios błękicie.

Naprzeciw młodego oprycznika podążał oddział klasztornej służby, objazd, w szyszakach i drucianych koszulkach. Jeźdźcy człapali wolnym krokiem, śpiewając psalmy. Słysząc święte słowa, Maksym wstrzymał konia, zdjął czapkę i przeżegnał się.

Niewielka rzeczka płynęła pod samą górą, i obracała koła kilku młynów. Na brzegu pasły się krowy.

Wszystko dokoła klasztoru tchnęło takim spokojem, że zbrojny objazd wydawał się zbytecznym. Nawet ptaki na dębach szczebiotały, rzekłbyś, półgłosem; wiatr nie igrał liśćmi, jeno koniki polne odzywały się bez ustanku. Niepodobieństwem zdawało się, aby źli ludzie mogli przerwać oną ciszę.

— Tu odpocznę — pomyślał Maksym — w tych murach przesiedzę z kilka dni, póki ojciec nie przestanie mię szukać. Powiem wszystko na spowiedzi, może mi dadzą schronienie.

Maksym się nie omylił. Stary igumen (przełożony) o długiej siwej brodzie i łagodnem wejrzeniu, w którem się malowała zupełna nieświadomość rzeczy światowych, przywitał go czule. Dwaj słudzy zajęli się zmęczonym koniem, trzeci przyniósł chleba i mleka dla Bujana. Wszyscy bardzo byli radzi Maksymowi, igumen prosił go do obiadu, lecz ten przedewszystkiem chciał się wyspowiadać.

Starzec spojrzał nań przenikliwym wzrokiem, o ile mu na to pozwolił łagodny wyraz jego oczu, i ani słowa nie rzekłszy, poprowadził go przez duży podwórzec do nizkiej cerkwi. Przechodzili koło grobowych krzyży i długiego rzędu celi, obsadzonych kwiatami. Spotykani braciszkowie kłaniali im się w milczeniu. Głucho i ponuro dzwoniły pod krokami Maksyma kamienne płyty grobowców, a wysoka trawa, która się pomiędzy niemi przedzierała, zakryła do połowy ich skromne napisy. Wszystko tu przypominało o błahości żywota, wszystko wzywało do modlitwy i skruchy. Cerkiew, do której prowadził igumen Maksyma, stała pośród odwiecznych dębów, a ich rozłożyste gałęzie prawie zupełnie zakrywały wązkie, podługowate okna, które przepuszczały światło boże przez zakurzone szyby, w ołowianych ramach.

Gdy weszli, ciemność i chłód wionął prosto w oczy. Przez jedno tylko okno, mniej od drugich przysłonięte, skośne promienie światła padały na ścianę, na której był wymalowany Ostateczny Sąd Boży. Reszta cerkwi wydawała się przeto jeszcze posępniejszą; gdzieniegdzie tylko błyszczały srebrne jabłka kadzielnic, wieńce na obrazach i szyte, srebrne krzyże na czarnym aksamicie, pokrywającym mogiły książąt Woratyńskich, fundatorów klasztoru. Pozłota na niektórych naczyniach kościelnych po-

dobną była tu i tam do tlejących w popiele węgli, na które tylko... tylko patrzeć, aby nie buchnęły płomieniem. Powoli i oczy Maksyma przywykły do ciemności, i poczęły rozróżniać wnętrze świątyni; nad carskiemi drzwiami wisiał Zbawiciel z Cherubinami i Serafinami. Wielki miejscowy obraz Iwana Predtieczy przedstawiał go skrzydlatym i trzymającym na półmisku swą ściętą głowę. Na bocznych drzwiach wymalowane były bez najmniejszego smaku przypowieści: o marnotrawnym synu, o walce śmierci i życia, o zgonie pobożnego i grzesznego. Ponure owe obrazy dziwnie podziałały na Maksyma; wszelkie pojęcie o pokorze ducha, o bezwyjątkowej uległości rodzicom, wszystkie zasady w których był wychowany, zadrgały w nim świeżem życiem. Borykał się z myślą: żali dobrze uczynił, uciekając od ojca i przeciwiąc się jego woli? I sumienie choć mówiło mu: tak, nie było jednak spokojne. Obraz strasznego sądu jeszcze przykrzejsze wywarł na nim wrażenie. Gdy cień liści dębowych igrał po ścianie, niby siatka ruchoma, wydawało mu się, że to ci grzesznicy i djabły, wymalowani w naturalnej wielkości, oddychają i ruszają się.

Dziwny i święty zarazem ogarnął go strach jakiś. Padł na twarz przed igumenem:

— Ojcze mój — rzekł — muszę być wielkim grzesznikiem.

— Módl się — odpowiedział łagodnie starzec — niezmierzonem jest miłosierdzie Pańskie, skrucha ci wiele pomoże, mój synu.

Maksym zebrał wszystkie siły:

— Straszniem zawinił, — ojcze mój — zaczął drżącym głosem — słuchaj! zgroza mówić. Obrzydła mi miłość do cara, serce me odwróciło się od niego.

Igumen z zdziwieniem spojrzał na Maksyma.

— Nie odpychaj mię Ojcze — mówił dalej syn Maluty — wysłuchaj! Długom ze sobą samym walczył, długo się modlił przed śś. obrazami. Szukałem w swem sercu miłości dla cara, ale jej nie znalazłem.

— Synu mój — rzekł starzec, patrząc z współczuciem na Maksyma — widać szatan opanował twój rozsądek; obmawiasz samego siebie, nie może być, żebyś znienawidził cara! Wielu ciężkich grzeszników spowiadałem w tej świątyni, i świętokradców i rozbójników, ale takiego nie było, coby nienawidził cara.

Maksym zbladł.

— To znaczy, żem gorszy nawet od świętokradcy, rozbójnika! — wyjęknął. — Ojcze mój, co czynić? naucz mnie, oświeć, dusza mi się rozrywa na dwoje!

Starzec coraz to z większem zdziwieniem patrzał na spowiadającego się.

Żaden rys w szlachetnej twarzy Maksyma nie zdradzał występku. Była to jedna z tych skromnych twarzy, pełnych odwagi i dobroduszności, jakie i teraz jeszcze można napotkać między Moskwą a Wołgą, w miejscowościach oddalonych od dużych dróg i pozbawionych dotąd wpływu miast.

— Synu mój — mówił dalej zakonnik — nie wierzę, ty sam się obmawiasz, nie wierzę, żeby twe serce odwróciło się od cara. To być nie może! Czemżeż jest car dla nas, jak nie ojcem, a piąte przykazanie nakazuje czcić ojca. Powiedz mi, mój synu, przecież spełniasz przykazania Pańskie?

Maksym milczał.

— Synu mój, czcisz ojca swego?

Nastąpiło znów głuche milczenie, a po chwili ponura odpowiedź — nie.

— Nie — powtórzył stary, i cofnął się w tył, i zrobił znak krzyża świętego. — Ty nie lubisz cara, nie czcisz ojca, coś ty za jeden?

— Ja — rzekł młody oprycznik — jam . jest Maksym Skuratow, syn Skuratowa Bielskiego.

— Syn Maluty?

— Tak — powiedział Maksym i zalał się łzami.

Starzec milczał. Smutnie stał przed Maksymem. Nieruchomie spozierały na nich zachmurzone twarze świętych. Grzesznicy na malowidle strasznego sądu błagalne wznosili ręce ku niebu. Dokoła panowała głucha cisza, którą przerywały łkania Maksyma, szczebiotanie jaskółek w framugach i gzymsach, a czasem cichutkie słowo modlitwy igumena.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ANTOŚ Z SKALINA

— CZYLI —

CNOTA NAGRODZONA A ZBRODNIA UKARANA.

POWIEŚĆ WIELCE CIEKAWA I MORALNA.

ROZDZIAŁ I.

Dozór nad dziećmi jest rzecz anielska.

Na początku przeszłego wieku żył w Skalinie, starożytnym lecz bardzo okazałym zamku, blizko wielkiego lasu położonym, zamożny rycerz Sławomir z żoną Renatą. Maleńki i ładny chłopczyk, imieniem Antoś, był ich jedynem dzieckiem i z niewymowną czułością kochali go rodzice. Lecz nim jeszcze dziecię imię "ojciec" wymówić mogło, musiał szlachetny Sławomir oddalić się na wojnę. Pobożna żona jego została w zamku. Jedyną jej pociechą w oddaleniu męża, jedyną rozkoszą w cichej samotności, był ulubiony Antoś. Postanowiła żyć tylko dla jego wychowania, a serce jej z utęsknieniem pragnęło błogiej chwili, w którejby mogła z nadobnem dzieckiem na ręku pospieszyć naprzeciwko męża.

Jednego wieczora siedziała Renata w swym pokoju, synka trzymając na łonie. Małgorzata, piastunka, stała przy niej i podawała dziecięciu świeżo urwane kwiatki, uprzejmie z niem żartując. Dziecko z uśmiechem wyciągało ku nim drobne swoje rączki; ucieszona matka uśmiechała się także i z wesołem obliczem poglądała na radość dziecięcia. Wtem wchodzi sługa, który razem z Sławomirem na wojnę był odjechał i przynosi smutną wiadomość, że pan został ciężko raniony i przed zgonem swoim, który może jest blizki, żąda widzieć się z żoną. Zbladła Renata i zaledwo mogła drżącemi rękami utrzymać dziecko. Posłaniec zobaczywszy przestrach Renaty, robił nadzieję, że mąż jej może jeszcze przyjść do zdrowia; wszelako nie mógł jej tego zataić, że musi dzień i noc jechać nieustannie, jeżeli go chce jeszcze z pewnością zastać przy życiu. Renata postanowiła natychmiast odjechać. Gorącemi łzami oblała syna. "Mój miły Antosiu", rzekła, "ach, ty nie wiesz nawet jeszcze, dla czego matka twoja płacze. Biedne dziecię, tracisz ojca, nim go poznałeś! O jak mi bolesno, że cię w tę daleką uciążliwą podróż nie mogę wziąć z sobą."

"Małgorzato!" zawołała, obracając się do piastunki, "zostawuję ci tu co mam najdroższego. Strzeżcie pilnie dziecięcia! nie zostawuj go nigdy ani momentu samego, nawet ani wtenczas, kiedy śpi. Pielęgnuj go starannie, jak gdybym ja sama była przytomną W każdym dniu pogodnym, szczególniej z rana, wynoś go do ogrodu na świeże powietrze. Śpiewaj mu piosenkę, rozmawiaj z niem, pokazuj mu często kwiaty i inne piękności. Nic mu nie dawaj do rąk, czemby mogło siebie uszkodzić, ukłuć się, albo połknąć. Strzeż się nadewszystko w czemkolwiek mu się narazić, gniew swój albo niechęć na niem wywierać za jego dziecinną nieudolność. Dozór nad małemi dziećmi jest rzecz anielska. Bądź ty dla tego dziecka dobrym aniołem! Klucznica, której całe domostwo poruczam, powie mi, czyś wszystkie moje słowa dokładnie wypełniała. Przyrzecz mi, że nigdy nie spuścisz z uwagi tych ostatnich moich zleceń, abym w tym względzie przynajmniej była spokojną. Będę liczyć wszystkie godziny do mojego powrotu. Natenczas, jeżeli mi wesołe i zdrowe dziecko do rąk oddasz, będę umiała cię wynagrodzić. Przywiozę ci także co pięknego, co ciebie pewno ucieszy."

Małgorzata wszystko przyrzekła. Renata ucałowała dziecko, pobłogosławiła je i długo ze zroszonemi oczyma, wzdychając głęboko, poglądała ku niebu; oddała potem syna na ręce Małgorzaty, a sama wsiadła do po-

jazdu przy głośnym płaczu i ubolewaniu swoich sług i poddanych i odjechała jeszcze z nadchodzącą nocą wśród deszczu ulewnego.

ROZDZIAŁ II.

Wielkie nieszczęście z małego nieposłuszeństwa.

Małgorzata była biedną sierotą ze wsi. Serce miała pobożne, umysł żywy i wesoły, powierzchowność bardzo powabną i kwitnącą, dla tego ją Renata przyjęła za piastunkę do Antosia. Dobra ta i skromna dziewczyna wszystko wypełniała dokładnie, co jej pani przykazała i nie upłynęło żadnej godziny, żeby przestrogi pani na myśl jej nie przyszły. Kochała bowiem panią, jako swoją wielką dobrodziejkę i z serca przywiązaną była do pięknego jej synka, poważała w nim już nawet przyszłego swojego pana.

Dnia jednego siedziała Małgorzata przy kolebce, ładnie na kształt kosza oplatanej, w której dziecko spało i robiła pończochę. Ozdobiła kosz nad głową dziecięcia różami, ażeby mu przy ocknieniu się zaraz co pięknego w oczy wpadło. Biała gazowa zasłona okrywała dziecko, żeby muchy nie dokuczały mu we śnie; lecz milej i piękniej niż róże wydawały się przez delikatną przejrzystą zasłonę rumiane chłopczyny jagody.

Wtem kilku wędrujących muzykantów dało się słyszeć przed bramą zamkową. Na ten odgłos zbiegli się wszyscy ludzie z zamku i wprowadzili muzykantów do dolnej izby, ażeby, korzystając z nieobecności państwa, zabawić się wesoło przy muzyce i tańcu. Małgorzata nic bardziej nie lubiła, jak muzykę, lecz pamiętając na zalecenia pani, została przy kolebce śpiącego dziecka. Aż tu wbiega do niej Jurek, ogrodowczyk i woła:

— Małgosiu, zejdź też na dół! Nie uwierzysz, jak wesoło się bawią. Tak pięknej muzyki jeszczem nigdy nie słyszał. Jeden ma cymbały i bije po nich, jakby chciał w kawałki potłuc. Jeden mały chłopiec gra na trójkąciku, nie źle także brzęcząc; drugi, wielki pucowaty, dmie w trąbkę pocztową, prawie głośniej, jak trójkącik, aż brzmi w obu uszach! Pójdź tylko prędko na dół! Małgorzata odpowiedziała, że nie może ani na moment odstąpić dziecięcia.

— Nie bądźże tak dziecinną, — rzekł swawolny Jurek.

— Ty przecie nie będziesz chciała sama jedna udawać świętej. Wszak dziecko śpi, a ty mu spać nie pomożesz. Chodź, chodź, a nie droż się tak bardzo! Za kwadransik powrócisz. Nie odmówisz mi, raz ze mną w koło się okręcić. — Małgorzata, lubo z niespokojnem sercem, dała się namówić i zeszła na dół. Wszelako mało znajdowała uciechy; wielka bojaźń ją opanowała. Chciała odejść, lecz drudzy ją zatrzymali. Nareszcie wyrwała się gwałtem i pospieszyła do kolebki powierzonego sobie miłego dziecięcia.

Lecz — co za przestrach ją ogarnął! Łożeczko było próżne — ani śladu dziecięcia. Uspokoiła się wprawdzie nieco i cieszyła się nadzieją, że zapewne ktoś z ludzi zamkowych na żart położył dziecko w innem łóżku, aby ją przelęknąć. Ale już na samą myśl, że pani mogłaby się o tem dowiedzieć, dreszcz ją przechodził. Przebiegała z pokoju do pokoju — i nigdzie nie było widać dziecięcia. Śmiertelna cisnęła ją bojaźń. Zbiegła na dół i krzyknęła między tańcujących:

— Małego panicza nie masz w łóżeczku; kto z was tak mię przestraszył i wyjął dziecię? — Nikt o tem nic nie wiedział, nikt z izby nie wychodził. Wszyscy zaraz porzucili taniec, a muzykanci oddalili się, nie czekając zapłaty. Wszyscy, ilu było w izbie, pobiegli przerażeni na górę; wszystko przeszukano. Wkrótce okazało się, że oprócz dziecięcia wiele kosztownych rzeczy brakowało. Któżby myślał inaczej, jak że dziecko ukradzione zostało!

Powszechna wesołość zamieniła się teraz w płacz i narzekanie. Jęk rozlegał się, jakby zwłoki czyje były wynoszone.

— O Boże! — zawołała klucznica, głośno płacząc, — ach, dobra pani — co się z nią stanie, gdy o tem usłyszy! To ją o śmierć przyprawi! — Małgorzata zaś odda-

wała się rozpaczy; w pierwszym jej momencie chciała uciekać, i byłaby może wskoczyła do rzeki, gdyby jej nie zatrzymano.

— O mój Boże! — wołała po kilkakroć, ściskana gwałtowną boleścią, — któżby mniemał, że tak małe nieposłuszeństwo tak wielkie okropne skutki mieć może.

ROZDZIAŁ III.

Największa boleść dobrej matki.

Podczas gdy wszyscy ludzie zamku w trwodze i zamieszaniu zebrani byli w izbie dziecięcia, rozlewając płacz i jęki; gdy Małgorzata, na wpół obłąkana, lękliwie i dziko czarnemi oczyma swojemi patrzyła i z roztarganemi włosami siedziała na podłodze przy próżnem łóżeczku, w koło którego róże, co przedtem zdobiły kolebkę, rozsypane i zdeptane leżały: jednym razem otworzyły się drzwi — i weszła pani.

Rana Sławomira nie była tak niebezpieczną, jak się z razu zdawało. Skoro minęło niebezpieczeństwo, Renata, za namową męża i wzywaniem własnego macierzyńskiego serca, odjechała napowrót, ażeby jak najprędzej być przy swym ukochanym Antosiu. Co tylko wyskoczyła z pojazdu, pobiegła do pokoju, gdzie się spodziewała swoje najdroższe dziecię przytulić do łona.

Na widok Renaty wszyscy w pokoju, zadrżeli. Małgorzata wydała głośny krzyk.

— O Boże! — zawołała, — zlituj się nademną i nad nią! — Z przerażeniem patrzała Renata na pobladłe twarze — czerwono zapłakane oczy — rozpacz Małgorzaty — próżną kolebkę. Nikt nie chciał odpowiadać na jej zapytania. Tysiąc smutnych przeczuć, tysiąc okropnych myśli przeszły jak błyskawica po jej duszy. Drżała o życie swojego dziecięcia. Gdy nakoniec o zaszłej przygodzie wpół się dowiedziała, wpół się domyśliła — natenczas zdawało się jej, jakby niebo i ziemia przywaliły ją swemi gruzami, zemdla i upadłaby na ziemię, gdyby wszyscy zatrzymać ją nie pospieszyli.

— O Boże, Boże! — jęcząc zawołała nareszcie, znowu odzyskawszy zmysły, — jakże dotkliwem obarczyłeś mię cierpieniem! Ach, moje dziecko, moje dziecko, moje najmilsze dziecko! O mój mężu, mój najdroższy mężu! wiadomość ta głębsze zada ci rany, niżeli miecz nieprzyjaciół! — O ty miły, dobry Antosiu, gdzież jesteś teraz? w czyje ręce wpadłeś? O jeślibyś miał od zbójców być porwany i wzrastać bez nauki, bez obyczajów — jakżeby to okropnie było! Pomyśleć nawet tego nie mogę! Ach, stokroć wolałabym płakać nad twym małym grobem! Natenczas zostałbyś pięknym aniołem przy tronie Bożym i miałabym pociechę, że cię tam kiedyś znowu ujrzę! Lecz teraz nie mam nawet tej jedynej, tej najsłodszej pociechy! Ach, cóż być może, co będzie z ciebie pośród takich ludzi?"

— O Boże, — rzekła potem znowu i upadłszy na kolana z płaczem i z załamanemi rękami podniosła oczy ku niebu. — Dobry Boże, jedyny pocieszycielu w każdem strapieniu! Dziecię moje jest wprawdzie od łona mojego oderwane, ale z Twojej ręki wydarte być nie może. Nie wiem, w jakich ciemnych lasach, w jakich kryjówkach zbójców teraz się znajduje; lecz gdziekolwiek jest, oko Twoje patrzy na nie. Nic dobrego, nic miłego nie mogę mu uczynić, ale Ty, i Ty tylko jeden możesz je zachować. Słyszysz krzyk małych ptasząt — usłysz także wołanie tego dziecięcia, które pewnie płacze, jęczy i do matki swojej tęskni. — Mnie zaś i mojego męża uzbrój mocą zniesienia na sobie tej straty! A chociaż to nieostrożność i złość ludzka pozbawiła nas tego anioła, Tyś wszelako na to zezwolił. Twojem to jest zrządzeniem; Tobie z ufającem, lubo krwawem sercem, dziecię moje niosę na ofiarę. Wiem z pewnością, że i ta boleść pod Twoją pieczą obróci mi się kiedyś na pożytek. Tak się pocieszała strapiona matka.

Lecz Małgorzata nie miała żadnej dla siebie pociechy. Upadła do nóg swej pani i błagała ją o przebaczenie. — Ach, — rzekła do niej, — gdybym mogła dziecię krwią moją z rąk zbójców wybawić, chętnie wylałabym ostatnią kroplę. Każcie mi życie odebrać, chętnie umrę. — Renata przebaczyła jej. — Żal twój szczery, — rzekła, — zasługuje na darowanie winy, nic ci się nie stanie. Lecz widzisz, jak słusznie myśla-

łam, jak rozsądne były moje rozkazy, doświadczyłaś teraz, ile nieposłuszeństwo, lekkomyślność, oddawanie się uciechom, sprawić mogą nieszczęścia. Wszelka nasza na tym świecie radość przeszła na zawsze, jak te róże powiędłe i zgniecione leżą na ziemi.

Gdy Renata ochłonęła z pierwszego wzruszenia i dowiedziała się, że dziecko dopiero przed dwiema godzinami porwane zostało, wysłała natychmiast mnóstwo ludzi do szukania. Posłance wracali jeden po drugim. Małgorzata wybiegała naprzeciw każdego z nich i płakała zawsze na nowo, skoro z daleka zasmucający wyrok z ich twarzy wyczytała. Przyszedł nakoniec ostatni, nie znalazłszy najmniejszego śladu dziecięcia, a Małgorzała wylała prawie źrenice swoje ze łzami. Z czasem wprawdzie uspokajała się powoli; lecz zawsze była bladą i snuła się jak cień. Wszyscy litowali się nad nią. Jednym razem znikła i nikt nie wiedział gdzie się podziała.

ROZDZIAŁ IV.

Jaskinia zbójców.

Cyganka jedna, stara i obrzydliwa kobieta, z czarnemi jak węgiel włosami i brudno-żółtawą twarzą, porwała to dziecko. Zwyczajnie chodziła ona wróżąc, aby oszukiwać łatwowiernych ludzi i okradać. Pod tym pozorem dawniej już była w zamku, i wszystkie sposobności dobrze wypatrzyła. Zostawała w zmowie z najstarszym z trzech muzykantów, i podczas gdy ten hucznem graniem wszystkich ludzi z zamku zwabił do dolnej izby, cyganka wkradła się do ogrodu przez drzwiczki murowanego parkanu, które ogrodowczyk z nieuwagi otwarte zostawił, potem krętemi schodami, mało odwiedzanemi, weszła do pokoju dziecięcia, wzięła je i co więcej na prędce pochwycić mogła, i spiesznie uciekła przez ogród do blizkiego lasu. Tam się skryła z dziecięciem w gęstwinie, póki noc nie nadeszła. W ciemnej nocy wstała i dalej szła z dziecięciem. Przebywała zawsze odludne i tajemne ścieszki; żywności z sobą miała dostatek. Przez dzień ukrywała się znowu w gęstych krzakach albo we zbożu. Tym sposobem szła ciągle, daleko, o wiele mil aż do gór. Tu głęboko po ziemią znajdowała się straszna jaskina, będąca częścią opuszczonej, na wpół zapadłej kopalni. Wejście do niej było tak dobrze zakryte rozwalinami skał i zarosłemi cierniami, że nie łatwo mógł człowiek je znaleźć. Cyganka długo wlokąc się po kamieniach, cierniach i krzakach jeżyn, stanęła u żelaznych drzwi, do których klucz miała. Otworzywszy je, szła długo, przynajmniej godzinę, podziemną drogą, i dostała się nakoniec do jaskini.

Jaskinia ta była mieszkaniem zbójców. Tu się ukrywali oni, ażeby ujść kary sprawiedliwości. Tu w ogromnych ciężkich skrzyniach chowali zrabowane skarby — mnóstwo bogatych ubiorów, drogie sprzęty, złoto, srebro, brylanty, perły. Pod ten czas gdy cyganka z dzieckiem przybyła, zbójcy, straszni ludzie, z groźnym wzrokiem i zapuszczonemi brodami, siedzieli wszyscy razem, pili, palili lulki i grali w karty. Bardzo się ucieszyli posłyszawszy, że dziecko to jest synem pana z Skalina, i obsypywali cygankę pochwałami za zręcznie wykonaną kradzież. Dawno już życzyli dostać w moc swoję dziecko tak możnych rodziców. — Gracko popisałaś się, stara ciotuniu! — rzekł dowódzca zbójców. — Teraz zupełnie jesteśmy bezpieczni. Jeśli którego z nas złapią, niech im tylko pogrozi, że my drudzy, skoro się tylko dowiemy, iż kogo z naszej hołoty pokrzywdzono, zaraz dziecię to wedle naszej umowy okrutnie na śmierć zamęczymy: natenczas pewnie będą go ochraniać albo też wolno wypuszczą. — Poczem dowódzca przykazał cygance, która zbójcom służyła za kucharkę i za gospodynię, ażeby pamiętała o dziecku i starała się zachować je przy życiu.

W tej strasznej jaskini ładny chłopiec przychodził do rozumu i uczył się mówić. Przypomnienia z pierwszego dzieciństwa prędko w nim wygasły. Nie wiedział już nic o słońcu, o księżycu, o całej pięknej ziemi Bożej. Promień dzienny nie wpadał nigdy do tego mieszkania zgrozy. Tylko lampa, na ciemnem, okopconem zawieszona sklepieniu, paliła się we dnie i w nocy, i

smutnym czerwonym blaskiem oświecała skaliste ściany. Na żywności nie brakło, gdyż zbójcy przynosili chleb, mięso, warzywa, szczególniej takie pokarmy, które się łatwo przechowywały, także wina do sytości. Wielka beczka z wodą w jednym kącie stojąca, którą od czasu do czasu świeżą wodą napełniono, zastępowała w tem podziemnem gospodarstwie miejsce studni. Ponieważ wodę z daleka sprowadzano, przeto cyganka oszczędnie jej używała, i surowo upominała chłopczyka, aby zawsze kurek dobrze zakręcił. Posłanie z sitowia, lecz pysznemi kobiercami przykryte, służyło zbójcom za łoże.

Cyganka opatrywała we wszystko chłopczyka. Dawała mu jeść obficie, ale go nic dobrego nie uczyła. Nie uczyło się dziecko ani czytać ani pisać i nigdy z ust tych złoczyńców nie słyszało słowa o Bogu. Tylko jeden pomiędzy zbójcami, młody w wieku i syn poczciwych rodziców, lecz którego namiętność do gry do tak obrzydliwego sposobu życia przywiodła, lubił rozmawiać z chłopczykiem, i ile razy zkąd powracał, przynosił mu co do zabawy. Darował mu rozmaite z drzewa wyrobione malowane figurki, jako to: owczarnię pełną owiec z owczarzem i z psem owczarskim, ogród z różnemi drzewami, na których żółte i czerwone owoce wisiały, małe zwierciadełko i tym podobne dziecinne cacka. Raz mu kupił flecik i nauczył go grać na nim piosenkę, drugi raz przyniósł mu bukiet malowanych kwiatów i uczył go samego wystrzygać kwiaty z papieru, spajać i rozmaitemi kolorami farbować. Chłopczyk zabawiał się tem niejedną godzinę. Ale najmilszą zabawką był dla niego mały portrecik jego matki, który cyganka w zamku ukradła. Był on nadzwyczajnie piękny, ślicznie malowany w złoto i kryształ oprawny, w około drogiemi kamieniami wysadzany. Cyganka dawała go chłopczykowi na chwilę, kiedy w bardzo dobrym była humorze.

Ów młody rozbójnik poglądał często na portret, przypominał swoję matkę i ocierał tajemnie łzę z oka. "Biedne dziecię," mawiał do siebie, — okrutnie to było jednak wydzierać ciebie takiej matce. Jakżeby ci inaczej było przy niej niżeli tu w tem okropnem mieszkaniu! A twoja dobra matka jakże rzewliwie płacze po tobie! Gdybym mógł cię oddać w jej ręce — jakżebym to chętnie uczynił! Ale sam jestem jak więzień! Tysiąc razy byłbym uciekł, gdyby mi ufali moi mniemani przyjaciele i nie tak pilnie zawsze mię strzegli!

Wiele rozmawiał on z chłopcem, różne opowiadał mu rzeczy, które malcowi przynosiły radość i rozum jego ocucały; lecz o Bogu i wieczności nie mógł nic przed nim wspominać, na toby inni zbójcy nie zezwolili, gdyż lękali się nadewszystko tego, coby ich sumienie obudzić mogło.

ROZDZIAŁ V.

Próba ucieczki.

Gdy chłopiec podrósł nieco, bardzo był ciekawym, dokąd ci ludzie zawsze chodzili. Prosił ich często, żeby go z sobą wzięli, lecz ci zawsze odmawiali mu krótko i groźnie, i pocieszali go, że inną razą wezmą go z sobą. Dnia jednego wyszli byli znowu na łupieztwo. Stara cyganka, która już słabą była na nogi i zawsze zostawała w domu, była smutną towarzyszką dla rzeźkiego chłopca. Zawsze była ponurą, dla ciekących oczu siedziała często godzinami przy świetle za zieloną umbrelą i łatała starzyzny albo liczyła pieniądze, nie mówiąc ani słowa. Potem zasypiała, chrapiąc nieprzerwanie przez kilka godzin. Razu jednego, gdy bardzo smacznie usnęła, chłopiec nabrawszy odwagi, zapalił świeczkę woskową i szedł ciemną drogą, kędy rozbójnicy zawsze wychodzili, coraz dalej i dalej, aż nakoniec przyszedł do żelaznych drzwi. Ale mu nie udało się otworzyć, bo ciężkim zamkiem mocno były zawarte. Zasmucony wracał nazad. Lecz droga, którą szedł, miała kilka innych wązkich lochów ubocznych, któremi przez kilka godzin można było chodzić pod ziemią. Chłopiec wszedł do pierwszego lochu, który wracając spostrzegł. Szedłszy już bardzo długo, gdy świeca jego już się dopalała, zdawało się mu, jakby widział w oddaleniu palące się światło. Zdjęty ciekawością poszedł ku niemu. Światło to, czer-

wono błyszczące, stawało się coraz większe, i nakoniec tak wielkie, że mu się ukazało jako postać ognista stojąca. Lecz nie tracąc odwagi, śmiało szedł naprzód i stanął nakoniec przed rozpadliną skały, przez którą jutrzenka świeciła i wygodnie można było przez nią dostać się na polne powietrze — jednym skokiem już stał ucieszony chłopiec na ziemi.

Lecz co z nim się działo, gdy uciekłszy z podziemnego mieszkania, pierwszy raz stanął pod pięknem, błękitnem niebem, w powabnej okolicy, między zarosłemi górami — tego żadne usta wypowiedzieć nie potrafią. Był to pogodny letni poranek. Słońce miało właśnie wschodzić, niebo na wschodzie świeciło się jak ognista łuna, a nad lasami i górami unosiła się mgła czerwonawa. Ziemia wszędzie okrytą była trawą i kwiatami, ptaszki śpiewały; u spodu w dolinie spoczywało czyste jezioro, w którem jutrzenka i zielone gór wierzchołki dziwnie się malowały.

Chłopiec stał jak piorunem rażony. Nie posiadał się z zadziwienia — w podobnym zostawał stanie, jak gdyby się był obudził z długiego głębokiego snu i słaniał się jak zaspany. Tylko patrzeć zdołał, długo nie znajdując słów dla okazania swojego zadziwienia. Nakoniec zawołał:

— Gdzież to ja jestem? jakże daleko, jak niezmiernie daleko jest w około mnie! O jak piękne, jak wspaniałe jest wszystko! Potem znowu patrzał z zadumieniem to na wysoki dąb, to na skałę obrosłą zielonemi jodłami, to na zwierciadlane jezioro, to na krzew kwitnący róż dzikich.

Teraz nad daleką górą jodłową, między złocistemi obłokami, ukazało się słońce. Chłopiec poglądał z osłupiałemi oczyma; zdawało mu się, że płomień wybucha, i prawdziwie rozumiał, że zaczynają palić się obłoki, które pierwszy raz widział. Nieprzerwanie patrzał w tę stronę, aż nareszcie całe słońce złote, okrągłe i piękne lekką mgłą, na kształt delikatnej krepy osłonione, wzniosło się nad góry.

— Co to znaczy? co za dziwne światło! — zawołał chłopczyna; i stał ciągle z osłupiałym wzrokiem i wyciągnionemi z zadziwienia rękami — aż nakoniec przed rażącym blaskiem musiał odwrócić oczy.

Chodził potem do koła, lecz zaledwo śmiał dalej postąpić, z bojaźni, żeby nie zdeptać pięknych kwiatów, któremi ziemia wszędzie jakby obsypaną była. Jednym razem postrzegł młode jagnię, leżące między kwitnącemi różami. "Ach, jagnię, jagnię!" zawołał ucieszony i przybiegłszy do niego uchwycił. Jagnię wzruszyło się, podniosło i zabeczało. Przelękniony chłopiec odskoczył. "Cóż to jest?" zawołał. "Żyje, chodzi i głos ma! Moje są wszystkie nieme i nieżywe i żadna się nie ruszy. Dziwna rzecz! któż to jemu dał życie?" Chciał wdać się z jagnięciem w rozmowę; czynił mu różne zapytania i gniewał się nakoniec, że mu zawsze tymże samym niezrozumiałym bekiem odpowiadało.

Wtem nadszedł młody pasterz, piękny, rumiany młodzieniec, z jasnemi włosami, który szukał zgubionego jagnięcia. Od dawna już przypatrywał się chłopcu i nie wiedział, co o nim sądzić. Z razu przestraszył się chłopiec na widok pasterza. Lecz gdy młodzieniec bardzo uprzejmie z nim się przywitał, nabrał chłopczyna śmiałości. "Jakiś ty piękny", rzekł do pasterza. "Powiedz mi", rzekł dalej, wskazując wyciągnionemi rękami na niebo i ziemię, "czy ta wielka, wielka szeroka jaskinia jest twoja? Nie mógłbym tu ja przy tobie i przy twojem jagnięciu zostać?" Pasterz nie pojmował dziecka i myślał z początku, że ma pomięszanie zmysłów. Zapytał je, jakim sposobem tu przyszło. Gdy chłopiec powiedział, iż wydobył się z pod ziemi, a potem opowiadał o starej kobiecie, o brodatych ludziach — wtenczas zrozumiał młodzieniec; wielki strach go ogarnął. Z tem wszystkiem pobudzony litością, wziął chłopca na rękę, pod drugą ujął jagnię i uciekał tak prędko, jakby już był od zbójców ścigany.

ROZDZIAŁ VI.

Pustelnia.

W górach mieszkał stary, bardzo poczciwy pustelnik, przeszło 80 lat wieku liczący, a dla swojej mądrości i pobożności

znany był w dalekie strony dokoła pod imieniem ojca Tobiasza. Do niego myślał pasterz zanieść znalezione dziecię. Pustelnia, do której było nie zbyt daleko, leżała u stóp góry, tuż nad jeziorem i podobna była do raju. Mała chałupa, odziana liśćmi winnemi i omszonym dachem z trzciny pokryta, stała między cienistemi drzewami owocowemi, wśród ogrodu pełnego najpiękniejszych kwiatów i ziół. Za chałupą wznosiła się winnica, a na boku wzdłuż góry rozciągała się rola. Gdzie zaś między skałami zostawało jeszcze próżne miejsce, tam stało drzewo z pysznemi owocami, albo przynajmniej kierz z wybornemi jagodami. Na skale, daleko nad jeziorem zwieszonej, wznosiła się kaplica z kończastą wieżyczką, do której prowadziły schody w skale wykute.

Właśnie siedział poważny starzec na drewnianej ławce pod jabłonią, zkąd był okazały widok na jezioro, gdy pasterz z chłopcem wszedł przez furtę do ogrodu. Wielka księga leżała na stole przed starcem, w której nabożnie czytał. Nie wiele włosów, okrywających jego łysą głowę i wielka broda były białe jak śnieg, cera zaś kwitnąca i rumiana jak u młodzieńca.

Ze szczerą ludzkością powstał, przywitał obu, słuchał z przychylną uwagą opowiadania pasterza i zapytał się chłopca, biorąc go z politowaniem na ręce, o jego imię. Domyślił się zaraz że to dziecko znakomitych rodziców i że od zbójców porwane zostało. "Zostaw u mnie to dziecię" rzekł do młodzieńca "i na teraz nie powiadaj o tem nikomu. Spodziewam się, że jeszcze się znajdą jego rodzice, a tu ono tymczasem będzie bezpieczne od ścigania zbójców. Uciekają oni od mojej celi jak od ognia. Złota i srebra nie masz u mnie, a dobrej rady i zbawiennych upomnień nienawidzą, chociaż nieraz więcej są warte niż złoto i srebro." Do chłopca zaś rzekł: "Serdecznie cię witam, kochany Antosiu! Będę dla ciebie ojcem i tak długo o tobie będę miał staranie, dopóki cię twemu ojcu i matce nie oddam. Nazywaj mnie oddtąd nie inaczej jak ojcem."

Częstował potem starzec swoich gości mlekiem i chlebem, a skoro się młodzieniec posilił, wziął za kij swój pasterski i odchodził do swej trzody. Chłopczyna nie chciał na to zezwolić. Płakał i trzymał go za suknie. Lecz gdy pasterz przyrzekł, że wkrótce przyjdzie znowu i darował mu jagnię, natenczas się uspokoił i nadzwyczajną okazywał radość z podarunku, który w oczach jego niezmierną miał wartość.

ROZDZIAŁ VII.
Słońce i księżyc.

Gdy pasterz odszedł, posadził litościwy starzec chłopca koło siebie na ławce i zaczął z nim rozmowę. "Kochany Antosiu", rzekł, "czy nic nie wiesz o swoim ojcu i o swojej matce?"

"O wiem", odpowiedział Antoś, "mam piękną matkę — tu w kieszeni. Patrz oto!" Wyjął mały portrecik, który wziął był do siebie i który w pięknym futerale z czerwonego safianu był zamknięty. Biedny chłopiec nigdy był jeszcze nie widział obrazu swojej matki przy świetle słonecznem. Zdumiał się teraz nad jego pięknością i nad blaskiem dyamentów, które świecąc się w ramach, raziły mu w oczy.

"Jak u ciebie jasno!" rzekł po chwili. "Ale powiedz mi tylko", dodał wskazując na słońce, "kto tę piękną złotą lampę tam w górze zapalił, która wszystko tak oświeca? Nie mogę nawet patrzeć na nię dla blasku. Tamta zaś w naszej jaskini była ciemna i nędzna. — I jakim to sposobem ona się coraz wyżej i wyżej podnosi? Kiedym pierwszy raz ją zobaczył, wychodziła z za drzew i nie długo potem tak wysoko była, że chociażbym stał na najwyższem drzewie nie mógłbym jej dostać. Jak to zrobiono, że ona tak wolno wisi i tak się podwyższa? Sznurka żadnego nigdzie nie widać. Któż to ją podnosi? I kto tam wchodzi tak wysoko, żeby oleju dolewać?"

Ojciec Tobiasz rzekł mu, że to wielkie piękne światło nazywa się słońce i że już pewnie tysiąc razy dłużej niżeli Antoś żyje, zawsze tak bieży i ciągle się pali, nie potrzebując ani kropli oleju.

"Tego nie pojmuję!" powiedział Antoś. "Ale co za piękne masz kwiaty!" rzekł znowu

i wstawszy przyskoczył do kwater, z których każda była podobną do koszyka pełnego kwiatów. “Jak nie do wierzenia są pięknie malowane i żółto i błękitno. Jak wszystkie niezliczone listki, jeden jak drugi są ładnie i delikatuie wystrzyżone. Z czego są te listki? Papier to nie jest, tak, jedwab jest niczem przeciw temu. Powiedz, czyś to ty zrobił wszystkie te kwiaty? Musiałeś więc długo pracować! U niektórych są niesłychanie drobne i cienkie ząbki. Do tego trzeba było maleńkich nożyczek i dobrych oczu. Ja także robiłem już kwiaty, ale tak pięknie nie umiem.”

Tobiasz powiedział, że żaden człowiek nie potrafi zrobić takiego kwiatu i że wszystkie same przez się z ziemi wyszły. Ale temu Antoś nie chciał wierzyć. “To być nie może”, mówił, “wolę już daleko bardziej wierzyć, że ty je zrobiłeś.” Starzec pokazał chłopcu pełną główkę makową, wytrząsł na rękę malutkie okrągłe ziarnka i rzekł: “Każde takie ziarnko zawiera w sobie mnóstwo takich wielkich czerwonych kwiatów, któreby z nich wyszły, jeśliby ziarnka wsadzone były do ziemi - tak i wszystkie inne kwiaty wyszły z podobnych małych ziarnek.” Chłopiec spojrzał na starca, czy bez żartu to mówi i rzekł: “Z takiej malutkiej ga łeczki miałby wyjść kwiat tak wielki i piękny? Toby każde takie ziarnko sztuczniej musiało być zrobione niż najsztuczniejszy złoty zegarek!” — “Właśnie tak jest”, rzekł Tobiasz. “Ale któż zrobił to ziarnko!” zawołał chłopiec. “Zdaje mi się, że łatwiej jeszcze byłoby zrobić wszystkie te kwiaty, niż jedno takie ziarnko!” Znowu oglądał kwiaty, chodził od jednej kwatery do drugiej i nie mógł się patrzaniem nasycić. Tymczasem było mu gorąco na słońcu. “Co za gorąca ta lampa!” “Tak daleko jest, a jednak tak dopieka. Dziwne to jakieś światło!” Tobiasz zaprowadził znowu chłopca pod jabłoń, która mile ocieniała szeroką ławę i stół. “Tu jest chłód i bardzo przyjemnie”, rzekł Antoś, patrząc na drzewo. “Drzewo to jest właśnie jak zielona umbrela, która nietylko od zbytecznego światła chroni, lecz także od gorąca. Jak ono jest wielkie i jak wiele tysięcy ma liści! Pień, jak widzę, musi być z drzewa zrobiony. Wszelako już prawie nie wierzę, że ty zrobiłeś to niezliczone mnóstwo kwiatów i liści. Byłoby to za nadto do roboty.”

ROZDZIAŁ VIII.

Zioła i drzewa.

Tymczasem starzec wszedł do chałupy i przygotował mały obiadek. Przyniósł naprzód mleka i chleba, potem dla chłopca masła i miodu i ładny koszyk pełen najlepszych owoców; dla siebie zaś korzeni i ziół, wielki złotawy melon i trochę czerwonego wina w białej szklannej butelce. Antoś smacznie zajadał i rzekł do starca: “Ale zkądże bierzesz wszystkie te dobre rzeczy? Czy ty także czasami wychodzisz na rabunek?”

Ojciec Tobiasz opowiadał mu przy jedzeniu, jak dziwnym sposobem wszystko wyszło.

— Patrz, powiedział, biorąc jabłko dla obrania i rozkrojenia Antosiowi, — te jabłka w koszyku dostałem od tego drzewa. Z cienkich gałązek drzewa tego wychodzą od czasu do czasu pełne kosze takich pięknych jabłek.

— Ale czyż to prawda? — zapytał się Antoś, obróciwszy wzrok wątpliwy ku starcowi. Ojciec Tobiasz wziął chłopca na rękę, nachylił gałąź i pokazał mu małe, zielone jabłuszka.

— Widzisz, — rzekł, — jak wychodzą z gałęzi? Będą one coraz większe i większe, a nakoniec tak wielkie i tak piękne, żółte i czerwone, jak te, co są w koszyku. Całe zaś to wielkie drzewo, — rzekł Tobiasz, rozrzynając jabłko, wyszło z takiego maleńkiego ziarnka, jak to, co na nożu przylgnęło. Znałem ja to drzewo jeszcze, gdy było takiem ziarnkiem. W każdem takiem ziarnie jest takie drzewo, nawet mnóstwo niezliczone takich drzew. Co większa, z jednego takiego ziarnka można tak wiele takich otrzymać, że światby ich nie objął, a jeden człowiek nie zliczyłby ich, chociażby żył wiecznie.

— Chleb ten pochodzi także z podobnych ziarnek, — rzekł dalej Tobiasz, poka-

zując Antosiowi ziarno zbożowe, które wziął był z chałupy. — To samo z niem się staje, co z ziarnkami jabłek i z nasieniem kwiatów. Z jednego takiego zbożowego ziarnka moglibyśmy mieć wiele tysięcy takich chlebów, jak ten, co na stole. — Opisał mu Tobiasz dokładnie, jak się to dzieje i pokazał w czasie rozmowy na swojej roli okrytej plonem, na której niedawno nic, prócz skib ziemi, nie było. Antoś przyskoczył i na wielką uciechę swoję znalazł już w każdym kłosie maleńkie ziarnka.

— I tak, — kończył ojciec Tobiasz, — dzieje się ze wszystkiemi zielonemi roślinami, które wszędzie naokoło siebie widzisz. Trawa ta pod naszemi nogami, tamte krzaki róż kwitnących, owe niezliczone kłosy zboża i winne grona, które chałupę i wzgórze nad nią okrywają, niezmierne dęby i sosny tam na górze stojące i drobny mech przy tym pniu jabłoni — wszystko to wywiązało się, zieleniło i rozkwitło z takich ziarn, albo z nich przynajmniej wyhodowanem być może. Wszystko co tu na stole widzisz, mleko i masło, które z trawy pochodzą, miód z kwiatów dobywany, pożywny chleb i krzepiące wino; wszystkie zioła, korzenie i owoce, ta rzerzucha, ta rzodkiew i ten wielki piękny melon; takoż gałązki, z których te piękne koszyki są uplecione, drzewo, z którego te talerze i kubki wytoczono, nawet stół i ławkę winni jesteśmy takim małym ziarnkom. Ja tylko włożyłem je do ziemi, i tu drzewo, tam miliony kłosów z ziemi wyrosły, przez co moje mieszkanie, które przedtem było pustynią, upiękniłem wszelkiemi ozdobami, i we wszystko, co potrzeba do życia, opływam."

Dla chłopca były to niepojęte rzeczy. Jak przedtem wszystko z zadumieniem oglądał, tak teraz pełen zadziwienia słuchał opowiadania pustelnika.

ROZDZIAŁ IX.

Źródło i deszcz.

Tymczasem obróciło się słońce; w ogrodzie kwatery z kwiatami leżały w cieniu. Niektóre z kwiatów, jakie Tobiasz najbardziej lubił, zwiędły cokolwiek od upału słonecznego. Chociaż wkrótce spodziewał się deszczu, chciał wszelako z mądrej przezorności podlać przynajmniej ulubione swoje kwiaty. Wziął konewkę i trzymając chłopca za rękę poszedł do źródła, które obficie wytryskało z wielkiej skały mchem obrosłej.

Antoś klasnął rękami z zadumienia.

— Co za mnóstwo wody, — zawołał, — wypływa tam z kamienia! Co moment myślę, że przestanie, ale ciągle płynie bez żadnego zatrzymania się. Kto nalał tam w górze tak wiele wody i zkąd jej tyle biorą, żeby dolewać? Musisz otwór zamykać, i więcej wodę oszczędzać, inaczej ci wyciecze. — Tobiasz rzekł mu, że ta woda pewnie już tak długo jak słońce świeci nieprzestannie płynie, nigdy nie ubywa i nie potrzebuje dolewania. Powiedział mu, że całe jezioro, które Antoś za wielkie zwierciadło uważał, nieco innego jest jak tylko woda. Nowe to były dziwy dla chłopca.

Tobiasz powrócił z pełną konewką i zaczął kwiaty polewać.

— Ach, co robisz? zawołał Antoś, — zepsujesz sobie kwiaty, teraz farba zejdzie. — Odpowiedział uśmiechając się Tobiasz, że kwiaty, zioła, zboże, winogrona, krzewy i drzewa żyją także w pewnym rodzaju, i tak potrzebują wody jak człowiek napoju.

— Ale, — rzekł Antoś, — któż zdoła dosyć nanosić wody dla wszystkich tych roślin? Kto wstępuje i podlewa tam wysoko drzewa na wierzchołku góry? — Tobiasz rzekł mu:

— Temu już bez nas się zaradza. Jakim sposobem, ujrzysz może prędzej, niż się spodziewamy! — dodał, spojrzawszy na obłoki.

Jakoż po chwili nadeszła chmura i zaczął deszcz padać naprzód zwolna, potem bardzo rzęsisto. To było znowu dziwnem dla Antosia zjawiskiem.

— To jest wyborne urządzenie, — powiedział; — ono ci wiele pracy oszczędza. Woda tak pięknie spada w tysiącznych kroplach, jakby się lała z konwi. — Ale kto to sprowadził tę chmurę, jak ty tę dziwną rzecz jakąś nazywasz? Kto zaniósł tam wodę tak wysoko? Jakim sposobem chmura

wisi tak wolno i nie spadnie? — O tem jeszcze się dowiesz, — rzekł Tobiasz. Chłopiec zaś długo patrzał na chmurę, dopóki nie przeszła, a niebo znowu zostało czyste i błękitne.

Wśród poznawania coraz innych przedmiotów, wśród radości i zadziwienia, prędko dzień chłopcu ubiegł. Tysiąc rzeczy bowiem, na które inni ludzie ze zwyczaju obojętnie patrzą — jako to owad złotawo-zielony na liściu róży siedzący, paskowaty ślimak, który po deszczu pełzał na drzewie, iskrawe krople, błyszczące jak brylanty na liściach, ptaszek śpiewający na gałęzi piosenkę wieczorną, skacząc wesoło z drzewa na drzewo, kozy pustelnika, które na wieczór z gór powracały — wszystko to było dla chłopca najdziwniejszem zjawiskiem i powodem do wielu pytań i odpowiedzi.

Nakoniec słońce zapadło za jeziorem. — Ach! — zawołał przelękniony Antoś, — teraz zanurza się lampa słoneczna we wodzie; zgaśnie potem i cała nasza skończy się radość. Jeżeli potem zapalimy naszą lampę, ta nam mało pomoże w tej wielkiej i dalekiej przestrzeni.

Uspokoił go ojciec Tobiasz. — Nie troszcz się, — rzekł. — Teraz wkrótce spać pójdziemy; do tego nie potrzeba światła. Nim się wyśpimy wyjdzie słońce znowu z przeciwnej strony między tamtemi górami. Tak bieży ono ciągle w koło bez zatrzymania się ani na jedną chwilę, oświecając wszystko i ogrzewając.

ROZDZIAŁ X.

Najważniejsze pytanie i najtrafniejsza odpowiedź.

Antoś powracał do dawnych pytań swoich, na które mądry starzec nie chciał jeszcze zaraz odpowiadać, lecz raczej zaostrzał coraz bardziej ciekawość chłopca.

— Zkądże to pochodzi, pytał się znowu, że słońce zawsze tak bieży? I kto zbudował to wielkie piękne sklepienie w górze i tak pięknie błękitno pomalował? kto nalał tak wiele wody do owej skały, że tak obficie bez przestanku płynie? kto kieruje chmurami, że tak wolno przesuwają się w powietrzu i niezliczonemi błyszczącemi kroplami skrapiają wszystkie rośliny? kto nauczył ptaki grać bez flecika tak piękne pieśni? kto kwiaty i drzewa ukrył w takich małych ziarnkach, że gdzie tylko chcemy wszędzie zejdą, okrywają daleko ziemię kobiercem trawy i kwiatów i nas obsypują tak wspaniałemi darami? kto tak wszystko dobrze i pięknie urządził?

— Mniemaszże więc, rzekł Ojciec Tobiasz, że koniecznie ktoś być musi, który tak piękny porządek utworzył?

— O nie inaczej, odpowiedział Antoś, to się rozumie. Ktoby o tem wątpił, musiałby nie mieć rozumu. Tamci ludzie w jaskini musieli długo pracować, gdy ją cokolwiek powiększyć chcieli. Raz nawet jaskinia miała zapaść, natenczas wiele pracy mieli nad jej poparciem. Pod tem zaś wielkiem sklepieniem nie widać ani jednego słupa! Nasza lampa w jaskini nie zapalała się sama przez się, a jeżeli nie chcieliśmy w ciemności siedzieć, musieliśmy dobrze o niej pamiętać i ciągle oleju dolewać. I beczka musiała być ciągle napełniana świeżą wodą, abyśmy nie cierpieli pragnienia. Ile pracy kosztuje wystrzyżenie jednego kwiatu, i jak pewną w oczach miarę mieć trzeba, o tem wiem dobrze. Że to wszystko, co tu do koła widzimy, nie może być ręką ludzką zdziałanem, to rozumiem. Ale któż jest ten, który to wszystko utworzył, tobym chciał właśnie wiedzieć.

Teraz gdy chłopiec tak wzruszony był wielkością, pięknością i mądrym układem świata, a oraz przenikniony mnóstwem dobrodziejstw, które wszędzie wzrok jego napotykał i gdy pałał chęcią dowiedzenia się, kto jest tym wielkim dobroczyńcą, od którego wszystko pochodzi — teraz nadeszła chwila, w której szanowny starzec mógł mówić chłopcu o Bogu, o Jego wszechmocności, mądrości i dobroci.

(Dokończenie nastąpi).

W. BOGUSŁAWSKI,

CUD

CZYLI

KRAKOWIACY I GÓRALE

W TRZECH ODSŁONACH.

(Ciąg dalszy).

Bardos.

(n. s.) Ha, teraz w domu jestem, to ciebie szeptanie,
Te jej groźby, ten upór, już wiem zkąd pochodzi.

(Głośno).

A Basia, wie też o tem?

Jonek.

Coś trochę dochodzi,
Bo jus Stachowi nie ras wyzucała,
Ze mu Dorota w ocy figlarnie patsała.

Bardos.

A więc i tę
Zazdrość uprzątnąć trzeba, bo kiedy w małżeństwie
Podejrzenie i zawiść poduszcza kobietę,
Często mężowska głowa jest w niebezpieczeństwie.

Jonek.

Oj! prawda, prawda.

Bardos.

Ale powiedz jeno szczerze,
Czy też Stach dla swej Basi wierny jest w tej mierze.
Czy nie przyjmuje czasem Doroty karesów?

Jonek.

Juści on teras wierny, póki kocha Basię,
Ale jak mężem będzie, kto wie, cy nie da się
Uwieść, bo to kobiety gorse sę od biesów,
A najbardziej te młode mężatki, co starych
Mężów mają, takie wej lubią straśnie chłopców jarych,
I choć się człowiek broni, ony wej tak musą
Onacyć i onacyć, ze chłopaka skusą.

Bardos.

To więc ty tak o Stachu sądzisz?

Jonek.

Ja, mój Panie,
Nie myślę ze on chultaj, jeno, ze kochanie
Jest to sidło na ptaski, a wędka na ryby,
Kto go tylko skostuje, zginie bez ochyby,
Moja ciotka, co męza tes starego miała,
Słuchaj Waspan, jak sobie często śpiewywała.

PIOSNKA.

Kiej się kobieta usadzi,
Choćbyś był chłopak ze skały,
Taki co węgiel podsadzi,
Ze się człek rozpali cały.

Węgiel ten natura daje,
Pses niego wsytko się rodzi,
On często swazy i godzi,
Z niego cały świat powstaje.

Taką to wejcio broń mają,
Wsytkie kobiety na świecie,
Prózno ich chłopcy nie chcecie,
Gdy na was ockiem zucają.

Choćby najtęsse chłopaki,
Nigdy im w boju nie starcą,
Bo ony mają wej tarcą,
Co wsytkie zmoze junaki.

Bardos.

Widzę, twa ciotka miała wielkie doświadczenie,
Musiała bywać w różnych obrotach.

Jonek.

Jakze nie?
Psecieć była u dworu za garderobianą.

Bardos.

A no, to co innego.

Jonek.

Pono tes dlatego,
Spiesno ją za staruska włódaza wydano,
Ze miała nabozeństwo do syna pańskiego.

Bardos.

Więc niedziwota.

Jonek.

Oj! znała ona psie figlasy.

Bardos.

Cicho, bo już tam widzę zaczęte hałasy.

(Hałas opodal).

Oj, będzie to tu wrzasku.

Jonek.

Skońcy się to biedą.

Bardos.

Nie lękaj się niczego.

Jonek.

Otós wsyscy idą.

SPRAWA XIV.

Dawni, Bartłomiej, Dorota, Basia, Stach, Wawrzeniec, Bryndus, Morgal, Swistos, Krakowiacy, Krakowianki, Górale, Góralki.

Bryndus *(ze złością).*

Choćbym miał stracić wszystko, a wreście i duse,
Nie daruję swojego i pomścić się musę.

Morgal.

Taką obelgę cynić, tak słusnemu cłeku?

Bardos *(n. s.)*

Oj będzież z tem szubrastwem sprawa, jak w Osieku!

Bartłomiej.

Ales mój Bryndusie!

Bryndus.

To się nie skońcy na ale,
Bo to nie dadzą z siebie psedrwiewać Górale.

Morgal.

Wkrótce my tu panocku pokazemy tobie,
Ze sobie grać na nosie nie damy — i kwita.

Bartłomiej.

Ales trudno psymusać, kiej nie chce kobieta.

Bryndus.

Po co mnie było zwodzić, co?

Bartłomiej.

Wsak my to sobie
Tak wymówili, ze gdy córka moja
Nie zechce, ja jej musić nie będę.

Basia.

I ja to
Dawnom ci powiedziała, ze nie będę twoja.

Stach.

A gdy waści nie kocha, coś ją winić za to?

Bryndus *(do Stacha, odgrażając mu).*

Oj! ty ty!

Dorota.

Tak, tyś spacku wsystkiego narobił,
Ale pocekaj.

Bryndus.

Jam się w wsystko psysposobił
Na wesele, kosule, saty, dwa łuzecka.

Morgal.

Stoją dwie becki piwa.

Swistos.

I madery becka.

Bryndus.

A mięsiwo?

Morgal.

A sadło?

Swistos.

A wiepsak karmiony?

(Ciąg dalszy nastąpi).